

## Mały pisarczyk z Małoszyc (I)

(Dokończenie ze strony 3)

Widziałem jeszcze później moją rozmówczynię bodaj dwa razy na imprezach w klubie im. Pietrzaka w PAX-ie warszawskim, ale wdawszy się z nią w rozmowę, stwierdziłem jedynie, że pani prezes jest mi życzliwa. W trakcie jednej z nich stwierdziła, że mogę złożyć dokumentację osobową i swoje prace literackie celem przystąpienia do SPP (przy jednoczesnym rozjeździe się z ZLP), ale to, co się stało, przeszło granice mojego oczekiwania. SPP mnie nie przyjęło za swego członka, a stało się to w wyniku głównie stanowiska zajętego przez Piotra Matywieckiego (Marek Nowakowski w ogóle nie przyszedł na posiedzenie komisji kwalifikacyjnej).

Byłem zaszokowany takim rozstrzygnięciem, ale wkrótce potem, gdy zostałem naczelnym dodatku „Myśl Polska”, mijając mnie w przejściu na parterze Domu Literatury, Matywiecki otworzył przede mną drzwi na oścież jak odzwierni i to było moje zwycięstwo. Marjańska tym czasem rozchorowała się i zmarła. Myślałem, że pamięć po niej szybko zaginie, jak po Grześczaku, nawet Szczepańskim, a tu tymczasem w jednym czy drugim programie organizowanym przez SPP pojawiły się wiersze prezes – autorki. Nastąpiło jej zwycięstwo z za grobu z całkiem innej parafii, ale deklarując się jako katolik, pochodzi prozaik, dyplomata, żołnierz Wojciech Żukrowski. Zwrócił on moją uwagę swoim stylem, żarliwym, tłustym, zatrzymującym na sobie uwagę i przy czytaniu budzący zachłanne uczucia jakiegoś łknienia słowa. O takich jak on twórcach mówił się: ciekawy, przyciągający uwagę. I tego Żukrowskiego, który jak pamiętam – pokazał się w TVP w programie w stanie wojennym, ogłoszonym przez Wojciecha Jaruzelskiego, w mundurze oficerskim – dane mi było poznać dość blisko w najbliższym czasie. Pragnąłem najpierw, aby udzielił mi wywiadu, na co odparł, że niedawno udzielił kilku (był jeszcze prezesem ZLP). Potem spotykaliśmy się w klubie im. Pietrzaka na zebraaniach „Kregu”, prowadzonym przez trochę topornego i mało przenikliwego, ale budzącego sympatię Zygmunta Lichniaka. Żukrowski tymczasem siadywał na spotkaniach za tym samym stolikiem, co i ja. Chcąc mnie rozbroić, bo może jako młodzian byłem za bardzo spięty, podawał mi ciasto, winogrona, nawet cukierki, które leżały na paterze, mając uspokoić nie tyle głód literatów, co uspokoić ich zdenerwowanie. Rozluźniłem się w jego towarzystwie i mile z nim gawędziłem, opowiadając także wiadomości o sobie, jakich nie

udzielałem dobrym kolegom. Żukrowski czuł się swobodnie i bez mojego pozwolenia na luz. Zabierał głos w dyskusji, wtrącał się w wypowiedzi innych osób prowadzących jakieś spotkanie. W jednej ze swoich wypowiedzi nazwał księdza osobą „mundurową”, co wydało mi się niesmaczne i zacząłem zastanawiać się, jaki model katolicyzmu prezentuje Żukrowski, skoro sutannę nazywa mundurem? Odczułem drażnienie na jego postawie etycznej, ale Żukrowski – pomimo niewyparzonego języka – dał się lubić. Na moją prośbę, już dużo później, chadzaliśmy na „Krag”, dał się namówić na wywiad do „Myśli Polskiej”. Z tej okazji odwiedziłem go w domu przy ulicy Karowej, nieopodal hotelu Bristol. Poznałem dobrze go jako gospodarza, jego żonę i pokój pracy, bogaty, ładnie utrzymany, z inkrustowanymi meblami. Zamieniłem parę słów z żoną i jak się okazało, była to miła, kulturalna, pełna wdzięku starsza pani. Sprawiała o wiele leprze wrażenie niż kiedyś żona Jana Parandowskiego, z którą zetknąłem się po śmierci męża w jej domu. Pamiętam jednak coś z tej wizyty, co by poświadczało, że Żukrowski był ciepłym, bezpośrednim człowiekiem.

Podczas mojej obecności gospodarz szczerze powiadomił mnie, że ma czas ograniczony, bo zmarł sąsiad z góry bloku i pisarz chce wybrać się na jego pogrzeb. Nie musiałem się spieszyć, Żukrowski poświęcił mi trochę uwagi, ale wychodząc, zaprosił mnie do taksówki (jeździł taxi), abym mu towarzyszył w wyjeździe, najpierw do kościoła św. Boromeusza. Pojechałem z nim na jego życie, ale przed cmentarzem, mimo że przyjemnie nam się gawędziło, rozstaliśmy się. Było to ostatnie moje zetknięcie się z nim, bo niedługo potem umarł. Ale z tych rozmów pamiętam tylko jako najważniejsze zwierzenie o autorstwie książki „Barwy walki” Mieczysława Moczara. Oświadczał z naciskiem, że nie on tę książkę napisał dla źle widzianego przez Polaków polityka.

Nie wiedziałem czy Żukrowskiemu ufać, czy nie ufać, aż natrafiłem na człowieka, który wymienił mi imię i nazwisko prawdziwego twórcy „Barwy walki”. Zrozumiałem, czym może być dla pisarza pomówienie o wspieranie niewłaściwego człowieka. Powiem jeszcze, że napisałem list do Żukrowskiego, żeby mi napisał odpowiedź na moje pytania celem wydrukowania jej w książce. W sumie wyniosłem pozytywne, a można powiedzieć, że i serdeczne wrażenie z obcowania z tą postacią, o jego prawdziwym obliczu czy pisarstwie inni może wiedzą więcej i lepiej? Nie sądzę, by Żukrowski miał dwa oblicza. A katolickość twórcy „Kamiennych tablic” wyjawia się najpełniej w materiale pisarza o wspólnej jego pracy w czasie II wojny światowej z Papieżem, ks. Karolem Wojtyłą w kamieniołomie Solvay w Krakowie. Skomplikowaną miał drogę Żukrowski,

podobnie jak całe jego pokolenie, które rozbiło się na dwa obozy: lewe i prawe, a osobowość pisarza przy tym układzie mogłaby wydawać się niekiedy dwuznaczna. Ten materiał ukazał się w później w piśmie Romualda Karasia „Pod Wiatr” i zaskoczył mnie, budząc moje zdumienie. Cała Polska w tym czasie zdawała się być katolicka, w tym również literaci, bo ci o skrzywionym kręgosłupie czy lewicowcy radykalni byli usuwani w cień. I tym literatom, a właściwie literatom i pisarzom, przewodził wówczas pod względem duchowym Krajowy Duszpasterz Środowiska Twórczych w Warszawie ks. Aleksander Niewęglowski. Czytałem jego wiersze, bo był sam poetą, ale nic szczególnego w nich nie znajdowałem. Podobnie nie miał siły przyciągania jako człowiek, bo gdzie tam mu było do takich otwartych dusz jak dusze księdza Jakubczyka czy księdza Natera ze Studzianny? Wydawał się być raczej naturą pospolitą i zamkniętą. Ale pewnie myłę się, bo któż o pospolitym wnętrzu sięgnąłby po pióro i chciał wylewać łzy (choćby krokodyły) nad światem? Nie. Przede wszystkim ks. Niewęglowski okazywał się dobrym księdzem, dbałym o majątek kościelny. W październiku 1993 roku w kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP i św. Józefa Oblubieńca Bogurodzicy utyskiwał, że twórcy warszawscy nie mają swojego kościoła, jak artyści z Krakowa, Wrocławia, Lublina, Gdańska i apelował, by władze kościelne zajęły się powstaniem takiej świątyni. Po mszy świętej nabyłem książkę duszpasterza „W cieniu słowa” a następnie poszedłem na uroczysty poczęstunek, tzw. agape. Książd był cały czas zaabsorbowany, rozmawiał, wyjaśniał, podpisywał książkę. Dedykację i ja otrzymałem, ale książd nie wyjaśnił mi w luźnej pogawędce, dlaczego nie odpisał na mój list z przesłanym moim tomikiem wierszy. Później też mu list z wierszami wysłałem i stało się to samo: książd Niewęglowski nie odpowiedział. Spotkałem natomiast na tej mszy świętej, połączonej z agape dla środowisk twórczych, zalatane go i wiecznie nieutemperowanego poetę i recenzenta PAX-owskiego, Zdzisława Łączkowskiego. Chciałbym mu poświęcić później nieco uwagi, lecz muszę powiedzieć, że za czasów pontyfikatu naszego Papieża wprost kajał się po kruchtach i nawracał na wszystkich imprezach artystycznych, nie zawsze samemu dając dowody pobożności. Kościół i katechizm delikatnie sprawował władzę i w tym środowisku. Także w ZLP, które uchodziło za „czerwone”, działy się dziwne, dramatyczne przetasowania.

cdn.

